

Indiańskie przebudzenie

18 sierpnia 2013

Boliwia to bardzo specyficzny kraj, położony w sercu Ameryki Południowej. Państwo duże, lecz mało zaludnione, otoczone wyżynami andyjskimi i amazońską dżunglą. Odcięte od morza, najbiedniejsze w regionie. To najbardziej indiański kraj południowoamerykański.

Boliwia przez lata kojarzyła się głównie z uprawami koki i z brakiem stabilizacji wewnętrznej. Historię i politykę tego państwa naprawdę ciężko zrozumieć. To tutaj doszło aż do 190 zamachów stanów w ciągu 170 lat! Były przypadki, że w ciągu jednego dnia, boliwijski naród miał... trzech prezydentów i każdy z nich miał za sobą część armii. Sucre jednak przez lata pozostawało wiernym sojusznikiem Waszyngtonu w walce z handlarzami kokainy i rolnikami hodującą kokę. Zarazem był to najbardziej chaotyczny kraj latynoski.

Dziś Boliwia to zmieniające się i coraz bardziej niezależne państwo, choć nadal musi stawiać czoła wielu problemom i nadal jest mocno powiązane ze Stanami Zjednoczonymi. Jednak zmiany, które zaszły w tym kraju, są rewolucyjne i niekorzystne dla Białego Domu. W 2006 r. nastąpiło tzw. „boliwijskie przebudzenie”, zwane niekiedy „indiańskim przebudzeniem”. Jego przejawem był wybór Indianina na prezydenta i to w kraju, w którym dotąd, żaden Indianin nie zasiadał na tak wysokim stanowisku państwowym, mimo że 60% społeczeństwa stanowi właśnie ta grupa tubylcza.

Po dwóch kadencjach Evo Moralesa, Boliwia jawi się jako oaza stabilności, z relatywnie dobrze działającą gospodarką. Indiański prezydent szybko jednak narobił sobie wrogów, zarówno za granicą jak i na własnym podwórku. Nowy przywódca nie przypadł do gustu, „Wielkiemu Bratu” z północy, głównie za to że nie chciał zwalczać upraw koki, która jest nieodłączną częścią życia Boliwijczyków. Raz w spór wszedł także ze

„swoimi” Indianami, za to że podniósł cenę gazu. Szybko wycofał się z tego pomysłu, choć żal i niesmak u społeczeństwa, które masowo go poparło w wyborach, pozostały. W końcu stał się wrogiem numer jeden dla białych separatystów, którzy chcą podzielić boliwijskie państwo na pół.

COCALEROS...

...czyli hodowcy i handlarze koki są w Boliwii znaczącą siłą społeczno-polityczną. Niejednokrotnie ich demonstracje obalały boliwijskie gabinety rządowe. To oni w dużej mierze na fali protestów wynieśli E. Moralesa do władzy. Walczyli przeciw neoliberalizmowi, korupcji i przede wszystkim organizowali się w obronie prawa do uprawiania koki, która jest nazywana „świętą rośliną” – pożywieniem, które daje energię, zabija głód i choroby. Produkuje się z niej słodycze, leki, kosmetyki. Żują ją niemal wszyscy, dorośli, dzieci, księża. Jest uprawiana od ponad 8 tys. lat przez rdzennych mieszkańców Andów. Używa się jej również w obrzędach religijnych.

Główną siedzibą Cocaleros jest region Chapare. W ciągu ostatnich dziesięcioleci prowincja ta stała się przystanią dla nielegalnej uprawy tych roślin, które są używane do produkcji kokainy. Uprawy koki przed rządami E. Moralesa było mocno zwalczane przez Stany Zjednoczone i działające w ich imieniu oddziały paramilitarne oraz białych oligarchów. „Boom kokainowy”, który miał miejsce na przełomie lat 70-tych i 80-tych zbiegł się z zawirowaniami politycznymi. W bólach rodziła się demokracja, inflacja szalała, boliwijscy politycy przeprowadzali neoliberalne reformy, według zaleceń MFW. Chcieli z Boliwii uczynić liberalny raj. Reformy skończyły się z niepowodzeniem, a wręcz katastrofą. Gdy prywatyzowano i zamykano m.in. huty i kopalnie, tysiące ludzi wylądowało na bruku. Wielu górników i robotników z upadłych kopalń i hut postanowiło przeprowadzić się do Chapare, aby hodować i sprzedawać kokę. Lata 80-te to także czasy rosnącego popytu na kokainy w USA. Jednak „Wujek Sam” postanowił rozprawić się z narkotykowym zagłębiem. Część Cocaleros współpracowała z

handlarzami narkotyków i nadal to robi, tyle że po cichu. Amerykanie założyli biura DEA (amerykańska agenda do zwalczania narkotyków) w La Paz, Santa Cruz i Trynidadzie. Stworzono miejscową policję. Miejscowi żyli w strachu, dochodziło do skryto zabójstw, ludzie znikali, płađrowano domy, wszystko w imię walki z narkohandlem. Za indiańskiego prezydenta jednak wiele się zmieniło. Amerykańskiej agencji podziękowano, zalegalizowano hodowlę i sprzedaż i koki, zaprzestani prześladowań plantatorów.

Každy prezydent Boliwii, gdy zaczynał swoją kadencję, stawał między młotem a kowadłem. Z jednej strony był nacisk od strony społeczeństwa, aby zalegalizować kokę. Z drugiej strony pojawiał się natychmiast amerykański nacisk i strach, że Boliwii zostanie przyklejona się łatka „narkopaństwa”. E. Morales w tym sporze chce znaleźć się gdzieś po środku. Rok temu, na forum ONZ wezwał społeczność międzynarodową do uznania za legalne żucie liści krzewu kokainowego i uprawy tej rośliny na własny użytek. Jednocześnie poprosił kraje rozwinięte o śmigłowce i samoloty mające umożliwić likwidację nielegalnych upraw. Jak sam mówi, chce walczyć z przemytem, a nie z koką. Problem polega na tym, że dla Waszyngtonu takie podejście jest nie do zaakceptowania. Polityka USA wobec narkotyków pozostaje niezmienna od prawie 40 lat. Co więcej, przyniosła ona więcej szkód niż pożytku. Nic więc nie zapowiada aby w najbliższej przyszłości, miałyby być przełom w tej sprawie.

WSCHODNIE PROWINCJE NA DRODZE DO AUTONOMII

W krajach łatynoamerykańskich, jak i ogólnie w krajach Trzeciego Świata, nierówności mają swoje kolory. Bieda jest kolorowa, natomiast biały człowiek jest zazwyczaj zamożny bądź, w najgorszym wypadku, należy do klasy średniej. Tak było m.in. w RPA, Namibii, Gwatemali w wielu krajach afrykańskich i łatynoskich. Tak też było i nadal pozostaje w Boliwii. Santa Cruz to najbogatsze miasto, a zarazem jest nazwą najmożniejszej prowincji w kraju. Posiada wielkie złoża ropy

naftowej, gazu, magnezu, żelaza, plantacje trzciny cukrowej, soi, tytoniu, bawełny. Będąc największym i najbardziej zaludnionym miastem boliwijskim, uważane jest za gospodarcze, przemysłowe i finansowe centrum państwa. To głównie ta prowincja, karmi i napędza boliwijską gospodarkę. Ten wschodni region różni się od reszty państwa. Większość stanowią tu biali, podczas gdy pozostała część mieszkańców pochodzi z indiańskich ludów Keczua i Ajmara. Biała mniejszość chce odłączyć się od reszty indiańskiego kraju. Separatyzm istniał tu zawsze, ale odkąd E. Morales stanął na czele państwa, ta tendencja znacznie się nasiliła. Skąd biali wzięli się w indiańskim państwie?

Część stanowią potomkowie Hiszpanów, druga część wywozi się z przybyszów m.in. z RPA, III Rzeszy, Węgier czy z Namibii. To głównie byli naziści i faszyci oraz ich spadkobiercy, którzy dostali w Boliwii azyl i wygodnie osadzili się we wschodnich prowincjach. Teraz dążą do autonomii a nawet do całkowitego oderwania się od indiańskiej części. Tym bardziej, że nowy prezydent ustanowił nową konstytucję, dzięki której państwo ma przejąć kontrolę nad kluczowymi gałęziami gospodarki. Powszechnie mówi się, że złoża bogactw naturalnych mają zostać upaństwowione.

W maju 2008 r. prawicowy rząd lokalny w Santa Cruz, chciał pokazać swoje niezadowolenie wobec planów lewicowego prezydenta. Rozpoczął referendum w sprawie autonomii. Autonomia zapewniłaby możliwość ustanowienia własnych sił bezpieczeństwa, ustawy podatkowej oraz możliwość samodzielnych negocjacji traktatów zagranicznych. Przede wszystkim jednak ta najbogatsza boliwijska prowincja nie musiałaby dzielić się wpływami z ropy naftowej i gazu z resztą społeczeństwa. Tymczasem dochody z bogactw naturalnych są kluczowe dla Evo Moralesa. Dzięki nim może finansować różne projekty socjalne, podbijając serca biedoty.

W odpowiedzi na separatystyczne plany Partyzanci z Ruchu na rzecz Socjalizmu wezwali do bojkotu głosowania. W kraju

zawrzało, dochodziło do starć zwolenników i przeciwników E. Moralesa, wiele osób zostało rannych. W efekcie jednak aż 85% głosujących odpowiedziało się za autonomią, choć frekwencja nie była wysoka, ok. 35%. Rząd w La Paz (Sucre jest stolicą konstytucyjną) uznał referendum za nielegalne. Inne wschodnie regiony takie, jak Tarija czy Pando, również postanowiły przeprowadzić plebiscyt. Lecz i te referenda zostały uznane za sprzeczne z prawem. Konflikt pomiędzy rządem a zbuntowanymi rejonami sięgnął punktu kulminacyjnego w 2009 r., kiedy to zaplanowano zamach na boliwijskiego prezydenta. Boliwijskie siły specjalne przeprowadziły „nalot” na hotel w Santa Cruz, gdzie pięciu „terrorystów” pochodzenia węgierskiego, rumuńskiego i chorwackiego planowało zamach. Doszło do wymiany ognia, dwóch przeżyło, trzech zginęło – w tym przywódca Eduardo Rózsa-Flores. Na miejscu znaleziono broń i ładunki wybuchowe. Władze twierdziły, że zamachowcy mieli powiązania z opozycją. To oficjalna wersja rządowa. Według innych źródeł nie doszło do żadnej wymiany ognia, strzelała tylko jedna strona – boliwijska policja. A słynny skład broni i materiałów wybuchowych odnaleziono w zupełnie innym miejscu. Przedstawiciele opozycji zaprzeczali, że współpracowali z zamachowcami, choć niektórzy przyznali, że raz doszło do spotkania z E. Floresem.

Życiorys niedoszłego lidera zamachowców był naprawdę imponujący. Początkowo był oddanym komunistą, agentem KGB, a później stał się członkiem Opus Dei. Pracował jako dziennikarz na Kubie, i jako korespondent wojenny w Jugosławii dla mediów hiszpańskich. Potem wstąpił do Gwardii Narodowej Chorwacji w Osijek. W ciągu kilku lat wziął udział w kilku walkach w Sławonii na obszarze wschodniej Chorwacji. Później służył jako dowódca sił specjalnych. Nie wiadomo do końca co robił w Boliwii, czy aby na pewno chciał dokonać zamachu? A jeżeli tak to na czyje zlecenie? W tej sprawie nadal pozostaje wiele niejasności i luk.

Dziś wschodnie prowincje boliwijskie zostały spacyfikowane.

Wielu liderów opozycyjnych jest znacznie mniej aktywna, albo pozostaje w więzieniu. Głównie za nadużycia władzy i korupcji. Nowa konstytucja została przyjęta w 2009 r., poparło ją ponad 60% społeczeństwa, przy bardzo wysokiej frekwencji sięgającej poziomu 90%. Wynik pozwolił ekipie prezydenckiej m.in. znacjonalizować wszystkie rafinerie. We wschodnich regionach jest już nieco spokojniej, nie ma co chwila demonstracji, żądających autonomii, nie ma żadnych spisków. Nawet w niektórych latyfundiach osiedli się bezrolni chłopci. Choć nie można wykluczyć, że dawne demony przeszłości znów się nie pojawią. Zwłaszcza, że „kolorowi” traktowani są przez „białych” wciąż, jak ludzie z drugiej kategorii.

Autor: Tomasz Skowronek

Źródło: Geopolityka.org